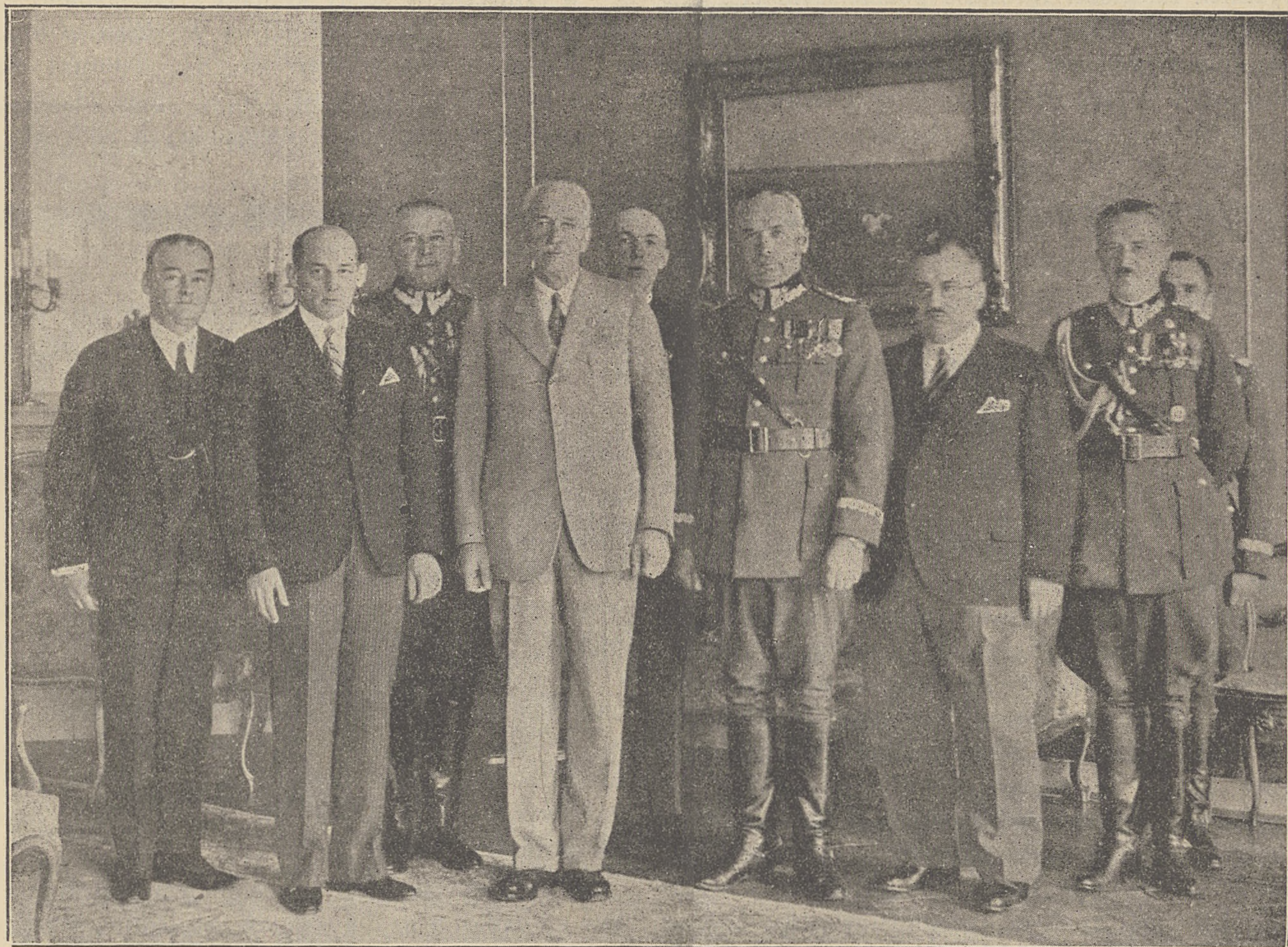
Nr. 23 We Lwowie, 5 grudnia 1933 Rok 55

ŁOWIEC

ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA



W dniu 5 listopada b. r. w Spale przyjął najdostojniejszy polski myśliwy, Pan Prezydent R. P. nadanej Mu przez Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich najwyższe odznaczenie łowieckie „Złom".
Zdjęcie powyższe przedstawia Pana Prezydenta ze swoją świtą i gośćmi po wręczeniu Mu „Złomu" przez Prezesa P. Z. S. Ł. Pana Gen. Sosnkowskiego.

Do Członków i Delegatów Towarzystwa

W następnym numerze „Łowca" umieścimy szczegółowe sprawozdanie z przebiegu Nadzwyczajnego Walnego Zgromadzenia odbytego w dniu 3 grudnia b. r.

Chcąc jednak, by ważne uchwały tego Zgromadzenia doszły natychmiast do wiadomości Członków i Delegatów Towarzystwa, podajemy poniżej ich brzmienie.

Z uchwał tych przekonają się Członkowie Towarzystwa, iż intencją Walnego Zgromadzenia było z jednej strony umożliwić mimo ciężkich obecnych czasów zalegającym znaczniejszemi kwotami pozostanie w Towarzystwie lub powrotu doń, a z drugiej zapewnić Towarzystwu i Wydawnictwu „Łowca" możność dalszej egzystencji.

Tuszymy, że z ulg poczynionych tak hojnie przez Walne Zgromadzenie skorzystają liczni restanci nasi i wrócą pod sztandar naszego Towarzystwa, aby znów z Niem pracować dla wielkiej łowieckiej idei.

Podnosimy wreszcie, że celem dalszego jeszcze ułatwienia uiszczania się z wkładek bieżących, będą one przyjmowane w r. 1934 także w ratach miesięcznych po Zł. 2·—

Brzmienie uchwał jest następujące:

1) Składkę na rok 1934, ustanawia się w wysokości 2 zł. miesięcznie, względnie 6 zł. kwartalnie.

2) Odpisuje się zaległości wkładkowe za czas do 31 grudnia 1932 r. tym członkom, którzy w terminie do 28 lutego 1934, uiszczą wkładkę w kwocie zł. 36 za rok 1933 i opłacą wkładki bieżące.

Walne Zgromadzenie nie wątpi, że się będą poczuwali do obowiązku dobrowolnego wyrównania wszystkich zaległości w czasie późniejszym ci z restantów, którym stosunki na to pozwolą.

3) Członkowie zalegający z wkładkami, którzy nie dokonają wpłat w terminie wyżej wspomnianym, odpowiadają za wszystkie zaległe wkładki w danej wysokości.

4) Walne Zgromadzenie upoważnia Wydział, by w wypadkach uwzględnienia godnych, regulował spłatę zaległości na dogodniejszych jeszcze warunkach, na wyrażone w tym względzie przez restanta życzenie.

5) Walne Zgromadzenie wzywa wszystkich Panów Delegatów, by dołożyli usilnych starań ku ściągnięciu zaległości i ku regulowaniu opłacania wkładek bieżących przez członków. — Wydziałowi poleca się wejść w tym celu w ścisły kontakt z Delegatami.

6) Walne Zgromadzenie poleca Wydziałowi ścisłe przestrzeganie postanowień art. XI. statutu i skreślania z listy tych członków, którzy mimo pisemnego wezwania, nie uiszczą obowiązujących wkładek.



JERZY DYLEWSKI

Plan gospodarstwa łowieckiego
w Fundacji Kórnickiej

(Ciąg dalszy)

BAŻANT.

Hodowla bażanta wymaga znajomości terenu, a przedewszystkiem odpowiednich zagajników, to wszakże jest pewnem, że w okolicach Poznania bażant trzyma się znakomicie, a ilość jego zależna jest jedynie od karmienia, gdyż ptak ten niekarmiony regularnie, wogóle ma skłonności do wędrowania na zachód i nigdy już na stare miejsca nie wraca.

Sądzę, że przy obszarze 6.000 mrg. lasu nie może brakować takich zagajników, w których bażant nie dałby się hodować w dowolnej ilości, z uwagi jednak na dość niską cenę (obecnie) za żywe egzemplarze eksportowane w kompletach 1:5 (1 kogut 5 kur), a mianowicie loco granica francuska Dell lub Kehl, po 45 fr. za kurę i 40 fr. za koguta, jak również biorąc pod uwagę, że chwytanie tych ptaków wymaga innej niż na kuropatwy sieci, a zatem świeżej inwestycji, cena zaś na bite sztuki nie była tak bardzo słaba w ubiegłym nawet sezonie (w porównaniu do żywych) można je przeznaczyć tylko do polowania.

Poza przytoczonemi warunkami natury ekonomicznej, przemawia za takim planem i ten wzgląd, że dobra kórnickie mogłyby gospodarować w ten sposób, aby dostarczyć rozrywki głównemu opiekunowi fundacji Panu Prezydentowi Rzeczypospolitej i Jego świcie, stanowiąc piękny i wygodny teren do polowania Głowy Państwa.

Takie rozwiązanie sprawy hodowli bażanta, oznacza chwilowe wstrzymanie się od forsowania eksportu w stanie żywym, ale nie wyklucza konieczności wykorzystania terenu w celu przysporzenia tej zwierzyny myśliwym, możliwymi, a mającymi na uwadze jak największe oszczędności — środkami.

Niżej podpisany jest zwolennikiem hodowania bażantów na dziko, a to dla różnych względów, przedewszystkiem zaś dlatego, że dziko hodowane nie pochłaniają takich nakładów, które przy sztucznej hodowli są nieuniknione.

Nie wyobrażam sobie, aby tak rozległe dobra nie miały w swoim terenie bażantów, właśnie dziko się trzymających.

Przypuszczam, że w pewnej ilości trzymają się chociażby dlatego, że w poznańskiem jest to ptak pospolity, więc chociażby od sąsiadów hodujących wędruje na te miejsca, gdzie znajduje pożądaną ostoję i spokój.

Jeśli nie plantuje się odpowiednich roślin, krzewów i t. p., a poprzestaje się tylko na karmieniu gotowem ziarnem zbóż, jako produktu uprawy gospodarstwa rolnego, hodowla bażanta na szerszą skalę nie opłaca się dlatego, że: 1) cena na żywe egzemplarze jest bardzo niska; 2) cena na bite również jest słaba; 3) bażant jest ptakiem żarłocznym i dlatego utrzymanie go w większej ilości wymaga znacznych nakładów.

Taki pogląd nie oznacza bynajmniej, aby wedle możności i zasobów nie prowadzić hodowli tego ptaka, stanowiącego pożądaną zwierzynę na eleganckich polowaniach, wszakże z punktu widzenia ekonomicznego należy kierować się dużym umiarem i przedewszystkiem stopniowem, odpowiedniem przygotowaniem rewirów bażancich, aby te ptaki mogły się utrzymywać przy minimalnych kosztach.

Spożytkowując poślady zbożowe, można bez nakładów, na tak znacznej przestrzeni, hodować tyle bażantów, aby pozwolić sobie lekko na odstrzał 1000 sztuk rocznie i spieniężyć, powiedzmy 700 sztuk tylko, pozostawiając 300 dla myśliwych.

Sprzedając bite bażanty loco Kórnik po 2 zł., otrzymamy: 700 × 2 = 1.400 zł.

SARNY.

Przejdźmy teraz do hodowli sarny.

Opierając się na doświadczeniu, powiedzieć można, że dla pomyślnego rozwoju hodowli sarn najodpowiedniejszym jest teren, składający się z mniejszych lasów o drzewostanie liściasto-iglastym, przedzielony polami, łąkami i krzakami w żyznej glebie.

Sarna ściąga do głębszej kniei wówczas, gdy znajduje tam upragniony spokój, pozatem trzyma się u brzegu lasów, a także i wśród czystych pól.

Przy uprawianiu, na miejscach niewykorzystanych przez rolnictwo, odpowiednich roślin, a także karmienia t. zw. chwastami i nieużytecznemi produktami gospodarstwa leśnego, sarna stanowi bardzo wdzięczny materjał hodowlany, a koszt jej utrzymania, w znacznej ilości jest bardzo niski.

Od fachowego kierownictwa gospodarką łowiecką zależeć będzie czynienie mniejszych lub większych, znacznych lub też minimalnych szkód w kulturach leśnych.

Przy odpowiedniem polaniu kultur specyfikiem Hitz'a, co przed wojną kosztowało 5 mrk na hektar, unika się ogryzania przez sarny wierzchnich pędów.

W dobrach kórnickich na przestrzeni 6.000 mrg. lasu, można hodować 400 sztuk sarn, licząc 1 sztukę na 15 mg.

W polu nasilenie to będzie znacznie mniejsze, o ile nie chce się robić specjalnych nakładów, mających na celu: zakładanie remiz, obsiewanie pólek trawami i ziołami, uprawę okopowych i dokarmianie paszą treściwą, jak marchew, bulwa, kukurydza, owies, koniczyna i t. p.

Na 17.000 mrg. pola możnaby hodować po 1 sztuce na każde 50 mrg, czyli 340 sztuk sarn polnych.

Są to cyfry stosunkowo bardzo niskie, wykazujące zaledwie przeciętną tej ilości, jaką przy intensywnem gospodarstwie łowieckiem mogłaby być osiągnięta.

Zatem na łącznej przestrzeni lasów i pól, dobra kórnickie mogą liczyć: sarn leśnych 400, polowych 340 — razem 740 sztuk.

Przy hodowli sarn i ustosunkowaniu płci, należy kierować się doświadczeniem, które wykazuje, że 1 kozioł zdolny do funkcji rozpłodowej, nie może pokryć więcej ponad 5—6 kóz, bez szkody dla zdrowia przyszłego pokolenia.

Aby ten stosunek utrzymać, należy się też liczyć z okolicznościami wskazującemi na to, że młode i słabsze kozły nie biorą udziału w godach weselnych o tyle tylko, o ile w rewirze znajduje się odpowiednia ilość kozłów mocnych.

Pragnąc wyhodować i utrzymać potrzebną ilość rogaczy rozpłodowych, trzeba mieć cały zastęp młodszej dorastającej generacji męskiej i to ustosunkować ją wiekiem i siłą w ten sposób, aby mogła z roku na rok przestępować do wyższej kategorji i w odpowiedniej ilości, t. j. takiej, która skutkiem upadku naturalnego i odstrzału ubędzie.

Ogólna ilość rogaczy, począwszy od śpiczaków, musi się równać ilości starych i młodych kóz, wtedy dopiero można liczyć na właściwy ilościowo i jakościowo przyrost i pokrycie naturalnego upadku.

Stosunek zatem 1:1 uważać należy za idealny.

Przyrost roczny w takiej hodowli wynosi pełne 80%, a upadek dotykający najbardziej młode kozy i koźlęta, nie powinien przewyższać 10% ogólnej liczby wszystkich sarn.

W ilości więc 740 sztuk powinno być: kóz starych 291, kóz młodych 94 — razem 385 sztuk.

Kozłów: 740 — 385 = 355 sztuk, a w tem: śpiczaków 88, widłaków 67, słabych szóstaków 52, łownych 44, silnych 38, prawie kapitalnych 29, kapitalnych 37 — razem 355 sztuk.

Przyrost roczny od 291 starych kóz wyniesie 240 koźląt, upadek naturalny pochłonie:

Kóz starych 7, kóz młodych 15 — razem 22 sztuki.

Kozłów śpiczaków 7, widłaków 7 — razem 14 sztuk; koźląt 36 sztuk.

Ogólny upadek wyniesie: 22 + 14 + 36 = 72 sztuki.

Do odstrzału przeznaczyć trzeba: kóz starych 22, kóz młodych 51 — razem 73 sztuki. — Śpiczaków 15, widłaków 12, słabych szóstaków 9, łownych 7, silnych 7, prawie kapitalnych 8, kapitalnych 8 — kozłów razem 66 szt. Koźląt 29 sztuk.

Ogólny odstrzał wyniesie: 73 + 66 + 29 = **168 sztuk.**

Z ilości 168 sztuk odstrzelonych pozostanie jako niezdatnych do sprzedaży 5, a 8 sztuk może zechcą zabrać myśliwi, a zatem do sprzedaży pozostanie:

168 — 13 = 155 sztuk.

z tej zaś ilości 29 koźląt, które trzeba przetrzymać jak najdłużej i sprzedać po innej cenie, niż dorosłe sztuki.

Więc do sprzedaży pozostanie dorosłych: 155 — 29 = = 126 sztuk i koźląt 29 sztuk.

Cena za sarninę podlega dość znacznym wahaniom, w każdym razie można przyjąć, że średnia waga sztuki wyniesie około 20 kg, a więc, licząc tylko po 1 zł. za kg, uzyskamy: 126 × 20 = 2.520 kg × 1 = 2.520 zł.

Oczywiście trzeba się starać o odstrzał w tym okresie czasu, gdy największy jest popyt, a chłodna pogoda pozwoli na przewóz zwierzyny.

Ze sprzedażą koźląt bywa dotychczas najwięcej trudności. — Ten rodzaj zwierzyny (konsumcyjnie najlepszej) byłoby najlepiej sprzedać w grudniu, przed Świętami Bożego Narodzenia, jednak wskutek wadliwej redakcji obowiązującego dotychczas prawa łowieckiego z dnia 3 grudnia 1927 r. (Dz. Ust. Nr. 110, poz. 934), sprzedawanie zwierzyny w czasie ochronnym jest wzbronione. Pozwolenie na odstrzał jednak, dla racjonalnych gospodarstw łowieckich, można z łatwością uzyskać od Ministra Rolnictwa.

Więc są możliwości odstrzału w tym okresie, niema tylko prawa na sprzedaż ubitej zwierzyny.

W nowelizacji w/w prawa łowieckiego, o ile mi wiadomo, wzięto pod uwagę i zaprojektowano możliwość sprzedaży zwierzyny, pochodzącej z intensywnych gospodarstw — w czasie ochronnym, oczywiście za pozwoleniem Ministra.

Mając na uwadze tylko dotychczasowy stan prawny, przewiduje się sprzedaż młodzieży, która stanowi najsmaczniejsze mięso, po 10 zł. za sztukę loco Kórnik.

Za 29 sztuk po 10 zł. uzyskamy 290 zł..

A zatem ogólna suma dochodu uzyskanego ze sprzedaży wyłącznie bitych sztuk, wynosi:

2.520 + 290 = **2.810 zł.**, licząc, jak to widać bardzo oględnie i nie uszczuplając skali hodowlanej.



A. GROETSCHEL

Z krogulczych łowów

I.

Równym przyziemnym lotem, dosięgnął krogulec samotnej, na miedzy wśród pól chłopskich stojącej gruszy.

Wsunąwszy się lekko w koronę drzewa — opadł na gałęzi i jak to bywa zwyczajem krogulców, strzepnął długim ogonem — poczem rozejrzał się bystro po okolicy. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się rozległe pola, w pobliżu wąskie chłopskie zagony — dalej obszerne dworskie łany — ku północy zaś majaczyły rozległe stukilkudziesięcioletnie dąbrowy.

W polach było cicho. Tu i ówdzie pasło się bydło na ścierniskach — gdzieniegdzie przechodzili pojedyńczo ludzie.

Krogulec poprawił się na gałęzi i zwrócił się ku południowi — skąd doszło go ćwierkanie wróbli.

Oto na małym chłopskim zagonie, na prosie, leżącem na pokosach, gwarliwa gromadka wróbli zawzięcie łuszczyła ziarno.

Jastrząb wbił swe ciemne, bursztynem oprawne źrenice w ruchliwe towarzystwo ptasie i pogrążył się w zadumę, — w jaki sposób upolować zdobycz. — A rzecz nie była łatwa. — Odległość gruszy, na której czatował krogulec, od miejsca żerowania wróbli wynosiła około 300 kroków. Żadnego krycia — ni krzaczka dookoła ani śladu. — Nie przyzwyczajony działać byle jako — czekał cierpliwie.

Tymczasem polną drożyną wiodącą wzdłuż zagonu, na którym żerowały wróble, nadeszła kobieta wiejska, z weretą na plecach, zdążając ku niezbyt odległej wiosce. — Jej widokiem spłoszone ptaszyny przerwały biesiadę i tłumnie ruszyły ku wschodowi, gdzie o paręset kroków wśród tyczek fasoli zapadły.

W. G. S.

Prawda za dwadzieścia groszy

Gdy poraz pierwszy polowałem na głuszce w Tatarowszczyźnie w naszych Gorganach, poznałem weterana górskich łowisk, starego leśnego Mykitę. — On to zasadził mi mego pierwszego głuszca, — z nim podskakiwałem mego pierwszego „kohuta“ — szczęśliwie.

Mykita z niejedną koronowaną głową polował, niejednego magnata podprowadzał pod jelenia, podskakiwał głuszca, lub dybał na niedźwiedzia.

Lubiał opowiadać o tych wrażeniach po kieliszku okowity i po napchaniu sobie lulki paskudnym tytoniem, który umyślnie woziłem dla gajowych. — Tytoń strasznie śmierdział, gryzł w oczy i w gębę, ale był dlatego bardziej smakowity, wydatny i pożądany.

Po moim pierwszym kogucie ubitym rano — wieczorem po powrocie z zapadu, na którym zasadziliśmy aż 7 głuszców, Mykita po sporej lampce okowity, zapaliwszy fajkę, rozgadał się na dobre.

Opowiadał jak to książę rosyjski przez niego niechcąco w błąd wprowadzony, zamiast jelenia, zabił kobyłę parocha. Jak to znany karykaturzysta, malarz Pick w czasie popołudniowej drzemki na gwałt obudzony, zabił dwa jelenie o odnogach obu ponad dwadzieścia, przekonany, że dwa razy strzelał do jednego jelenia i wiele wiele innych przejść.

W otwartej kolebie płonie kłoda suchej sosny, umiejętnie spuszczona przez górali, niebo świeci tysiącem gwiazd, las szumi — i zda się dąży koronami ku niebu. Cisza, nastrój uroczysty — hen zdala słychać wycie wilków, które dziwne drgania wywołuje w kości pacierzowej i palcach szukających sztucera. Cud górskiej nocy obejmuje człowieka, garnie w swe ramiona, jak ukochana kobieta, myśliwy się wtula w tę ciszę, w ten urok — może w tę grozę nieuchwytną. Samowar stare opowiada bajki, gawędzi sam ze sobą, nie troszczy się o ludzi, sam sobie wystarcza — ma swój cieplik, swój głos i wie, że dobrze czyni. — Czy wielu ludzi może się tem poszczycić? — Budzik rozważnie liczy uciekający i nigdy niepowrotny czas. — Siedzimy przed kolebą, patrzymy w niebo i w prastary bór.

Wreszcie Mykita pociągnąwszy z flachy i zacmokanej fai, rozgadał się na dobre. — „Pane, każe, a bulo to kołyś tak!“ — I opowiada niby anegdotkę prawdziwą o kłusowniku Mychajle, którą tu pragnę powtórzyć, bez do-

Nie upłynęło nawet minut parę, a spłoszone towarzystwo ptasie, było znów na dawnem żerowisku.

Jastrząb tymczasem siedział bez ruchu na gruszy i dumał. Mijały minuty za minutami, każdy zbliżający się do zagonu z prosem przechodzień zganiał mimowoli gromadkę wróbli z żerowiska — a te, zawsze po drodze szczebiocząc i bawiąc się, zdążały ku grzędom fasoli — gdzie sadowiły się na tyczkach. — A chociaż niejeden, mniej lub więcej uczony, odmawia ptactwu daru myślenia i kombinacji — krogulec opanował sytuację trafnie i powziął plan starannie obmyślany.

Oto w czasie, gdy wróble wesoło zabawiały się na zagonie prosa — on lotem skośnym wypadł z gruszy i nisko przy ziemi, wartko ku zagonikom fasoli popłynął — niknąc wśród tyczek, obrosłych pnącą rośliną.

Nie trwało zbyt długo, gdy nowy przechodzień dążąc w pole, rozpędził żerujące na prosie wróble. — Te jak dotąd, tym samym szlakiem, wprost ku fasoli zdążały — ćwierkając wesoło po drodze.

Nie przeczuwając nic złego, z szumem skrzydeł wpadają wróble ku tylokrotnie wypróbowanej ostoi. Lecz na kilka kroków przed domniemanem bezpiecznem ukryciem — wystrzela straszliwa postać krogulca. — Napróżno w gwałtownych rzutach próbują nieszczęsne ptaszyny uchronić się przed śmiercią — już zwinny krogulec niesie ku najbliższej miedzy w gwałtownie zwartych szponach żywą jeszcze, lecz zamarłą z przerażenia ofiarę.

II.

Gromadka szpaków żwawo zdąża nad zagonami chłopskich pól ku pobliskiemu pastwisku. — Grupka czarnych olch i kilka wierzb stoi na ich drodze.

W okolicy cicho i spokojnie — ludzie zajęci pracą w polu, rozrzuceni po kilku na niewielkich zagonach, kończą swe dzienne roboty — tu i ówdzie pasie się na ścierniskach po kilka sztuk bydła.

Szpaki mkną raźnie i wesoło — jak gdyby nie dbały o to, że lato już mija a smutna nadchodzi jesień.

Już kilka zaledwie metrów dzieli je od wspomnianej grupki drzew — gdy z pośród tychże, wypada znienacka krogulec — godząc w środek gromadki. — Dreszcz szalonej trwogi przemyka przez ciała ptasząt, lecz zdrowe ich dusze nie poddają się zgrozie.

Gromadka nie rozbija się wcale — lecz w zwarciu ptak przy ptaku pomykają wdal, przyśpieszając lotu i wznosząc się wyżej.

Krogulec chybiwszy celu, pozostaje niżej pod stadkiem szpaków, lecz podnieciwszy się w gonitwie i będąc już bliskim zdobyczy, nie daje za wygraną — mknie tedy co sił, tuż pod stadkiem prześladowanych. Lecz daremny jego trud — ścigane ptaki mkną również wartko. Po dłuższym pościgu krogulec zwalnia lotu i o dziwo — szpaki także zmniejszają tempo — czyżby zmęczone?

Krogulec zwija na prawo i idzie spiralą ku górze — szpaki czynią jota w jotę to samo. — Prześladowca uzyskawszy ogromną wysokość lotu, zwraca się ku południowi.

Gromadka szpaków podobna raczej do motyli — niż do ptaków, płynie ponad prześladowcą o jakie 8—10 m wyżej, dotrzymując mu wiernie we wszelkich skrętach i łukach.

Czas upływa szybko — krogulec zdaje się wielkości wróbla — szpaki zaledwie dają się dostrzegać — dzień zwolna chyli się ku zachodowi, a przedemną jeszcze kilkanaście kilometrów drogi. — Żegnam więc tę dzielną ptasią gromadkę ostatniem życzliwem spojrzeniem i ruszam spokojnie w dalszą drogę — będąc pewnym, że dziś jej żadne nie grozi niebezpieczeństwo.

W dalszej drodze długo dumałem o tej niezwykłej a tak ciekawej gonitwie i podziwiałem duże doświadczenie i mądrość szpaków. Wiedziały bowiem dobrze te miłe ptaszyny, że wszelkie obniżenie lotu — choćby

---

datków, złych myśli i insynuacji, — tak, jak ją Mykita opowiadał.

W zapadłej górskiej wiosce, w której chata za chatą szukała i znaleźć nie mogła, gdzie matka z synem a siostra z bratem się pobierali, gdzie ojciec duchowny latami nie dojeżdżał, żył młody kłusownik Mychajło — nieuchwytny. — Dorobiwszy się na swoim zawodzie trochę majątku, ożenił się i przystał do żony i obejścia nieopodal Worochty.

Żyłka myśliwska pędziła go do boru — a celne oko i wypróbowana broń, dawały kawał mięsa. — Sprytny, chytry Mychajło był nieuchwytny.

Rodzina Mychajłów wzrastała, a karmiona zwierzyną, prosperowała. — Wreszcie zarząd, straż leśna i żandarmerja, wzięły na kieł.

Wiadomem było, że po każdorazowej rozmnoży rodziny u Mychajłów wyprawiano uroczyste chrzciny. — Baryła wódki i różnorodna zwierzyna, dziki, jelenie, sarny i głuszce, stanowiły strawę wydatną. — Niczego nie żałowano w tak uroczystym dniu.

Co rok, prorok! — Tradycjonalny bocian, w którego już dziś nawet noworodki nie wierzą, przyniósł nowe dziecię pod strzechę Mychajłów.

Zakipiało wśród straży leśnej, wezwano pomocy żandarmerji, a wiedząc, że przed chrzcinami, Mychajło zechce napełnić śpiżarnię, zrobiono obławę.

Rewir, w którym nasz bohater miał zapolować, został zdradzony, obstawiony w dniu odpowiednim. Napięcie wśród straży leśnej i bezpieczeństwa, było niebywałe. — Cały szmat rewiru otoczony, zamknięty, że mysz się nie wymknie. — Długie wyczekiwanie, nadzieja złapania szkodnika, zadośćuczynienia, wreszcie wymiaru należytej kary i ochrony biednej zwierzyny, grały na nerwach wszystkich. — Wreszcie pada strzał— w samym środku obstawionego rewiru. — Wszystkie gęby składają się do uśmiechu. Mychajło teraz już nasz — teraz się nie wymknie!!!

Biegiem cała obława zdąża ku środkowi, pewna zwycięstwa.

Lecz tu chłop strzelał, a obława kuli nie znalazła. — Mychajła ani śladu — a ulewny deszcz, nawet ślady zatarł.

Przemoknięci do nitki, naradzają się władcy bezpieczeństwa, gdy w tem komuś kropla farby pada na rękę. Badanie skąd? — Na rozłożystej sośnie, odkrywają sarnę powieszoną, jeszcze ciepłą.

w znacznej odległości od jastrzębia, przynieść im może zgubę — wszakże krogulec jak i jego silniejszy pobratymiec gołębiarz — to mistrze ataków w dół.

III.

Na najwyższej gałązce silnie zaśnieżonego krzewu siedzący stary wróbel zasygnalizował gwałtownie na alarm i spadł niby grudka ziemi na sam spód krzewu w gęstwinę odrośli.

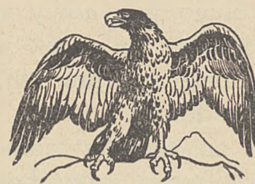
Niżej siedząca gromadka wróbli zaniepokojona ostrzegawczym sygnałem w szybkich i pełnych niepokoju ruchach, skupiła się w jednej chwili w dolnej partji krzaku i pilnie wypatrywała — skąd grozi jej niebezpieczeństwo.

Jakoż nie upłynęło kilkanaście sekund — gdy stary, pięknie upierzony krogulec wpadł na krzak z nienacka. Gromadka wróbli zwarła się jeszcze bardziej, poruszając się niespokojnie na dnie bujnego krzewu, krótko i ostro oznajmiając śmiertelną trwogę. — Napastnik uderzył kilkakrotnie z dwu stron na gąszcz gałęzi, nie by uchwycić dobrze ukryte ptaszyny, lecz by je z krzewów wypłoszyć i zmusić do opuszczenia niedostępnej dlań kryjówki. — A gdy ten sposób łowów nie dał pożądanego efektu, krogulec opadł na zaśnieżoną ziemię i uniósłszy w górę swe krótkie skrzydła — szedł pieszo dookoło krzewu, udając od czasu do czasu atak na najbliżej siedzące wróble, przyczem chwilami poruszał skrzydłami i wciskając się, o ile możności, jak najgłębiej w krzak.

Te łowy krogulca trwały już kilkanaście minut. Wróble śmiertelnie strwożone nie opuszczały zrazu środka krzewu — tylko w momentach, gdy drapieżnik zbliżał się do nich na odległość około 30 cm, przesuwały się możliwie daleko od jastrzębia na przeciwny brzeg krzewu. — Od czasu do czasu wyrywał się pojedyńczy wróbel po przeciwległej stronie krzewu i przerażony mknął w dal, co mu sił stało.

Ten sposób wymykania się wróbli nie uszedł uwagi drapieżnika. — Uderzył raz i drugi na swe ofiary, a kiedy te pojedyńczo lub w małych grupkach wymykały się z przeciwnej strony krzaku — z niesłychaną zręcznością, rzucał się w pewnym momencie za uciekającemi. A gdy wyciągał już szpony po niemal pewną zdobycz, wróbel spadał pionowo w poniżej znajdujące się gąszcze i tak w ostatniej chwili, uchodził śmierci.

Te łowy krogulcze powtarzały się w tem samem miejscu wielokrotnie w ciągu tej samej zimy, przeważnie jednak wróble uchodziły cało — o ile atakowane były w większej partji zarośli — gorzej im się zaś wiodło, gdy krogulec zaatakował je na pojedyńczych, bardziej odosobnionych mniejszych krzakach.



LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Wrona

Na dworze pada śnieg. Za oknem wolno, systematycznie przelatują duże białe płatki, osiadając na szybach, czepiając się nagich konarów drzewnych, pokrywając ziemię leciuchnym, miękkim całunem. Dookoła panuje jakaś dostojna cisza, mącona niekiedy tylko urywanem trąbieniem aut na pobliskiej ulicy, lub stukiem ciężkich kopyt biegnących koni. Krótki dzień zimowy dobiega kresu wędrówki. Świat, przysłonięty welonem padającego śniegu, robi wrażenie salonu, w którym jak za przejrzystą, delikatną firanką, płonie matowo, przyćmio-

---

To sprawka Mychajła! — W pogoń za nim!

Straż przeszukuje lasy a żandarmerja cwałem podąża do zagrody Mychajłowej, aby go przyłapać, lub osaczyć. Mychajło zwąchawszy pismo nosem, miał czas powiesić swą zdobycz na sośnie, łoże wrzucić do znanego sobie dziupła, lufę powiesić pod kapotą i do domu; tem bardziej, że dbały o swoją broń, chciał ją po ulewie wyczyścić.

W zagrodzie Mychajłowej leżała jego żona jeszcze po połogu w łóżku, a 8-mio letni syn Michałek poił bydło przy korycie.

Gdy zobaczył chłopczyna co się święci — duchem dal znać ojcu, że żandarmerja otacza zagrodę. — Ojciec, który czyścił broń, błyskawicznie ukrył części strzelby i z rozwagą oczekiwał rewizji. — Żandarmi owładnęli obejściem, przetrząsneli całą chatę, szanując jedynie położnicę — i nic nie znaleźli.

Wtedy jeden z władców bezpieczeństwa wziął Mychajłowego chłopczynę na ustronie i pokazawszy mu dwadzieścia groszy, powiedział: „Jak powiesz prawdę, gdzie ojciec ukrył strzelbę, tych 20 groszy twoje.

Chłopaczkowi aż oczy zaświeciły się do tej kupy pieniędzy, wyciągnął rączkę, pewny, że już są jego i powiedział: „Lufa u matuli w łóżku, a stempel u taty w portkach“. — Żandarm się żachnął, omal nie wyciął chłopaka i wściekły opuścił zagrodę, klnąc, że to talatajstwo nawet swą bachornię uczy okłamywać władzę.

Mały Michałko wrócił do chaty, opowiedział, co zaszło, oburzony, że „szandar“ to sobaka, obiecał za prawdę 20 groszy — on (Michałko) powiedział „rychtelną“ prawdę, — bo tak było — a ten pokazał pieniądze i schował do kieszeni — taki pies.

Michałko dostał od ojca dwa razy w pysk, a po wyczyszczeniu strzelby, na drugi dzień, stary Michajło wyprawił chrzciny, ksiądz dostał suty czomber, goście się urżnęli — a mały Michałko ogryzał kości, huśtał noworodka i przestał wierzyć w słowność władz. — A przecież widział, jak tato wsunął lufę w nogi matuli a stempel do portek schował.

I tak dzięki prawdomówności chłopczyny, Mychajło wymknął się znów władzy.

„Taki to był ten Mychajło“ — zakończył Mykita.



na żółtym abażurem lampa słońca. Ale wkrótce ona się już dopali i zgaśnie.

Tuż za szybą, na omszonej gałęzi obumarłego na zimę klonu, usiadła wrona. Czarną głowę z dużym, wystającym dziobem wtuliła w ramiona osłonięte popielatym płaszczem puchu, z pod którego wyłaniają się tylko ciemne jak heban skrzydła i takiż ogon. Przymknęła też swe bystre, wyraziste oczy i zdaje się drzemać. Ciężkie jest teraz jej życie w ustawicznej walce o byt, o nieogryzioną przez psy kość, czy jakieś odpadki z ludzkiego stołu. Widzimy, jak na śmietniku, obok bezpańskich czworonogów, wyszukuje sobie codzień pożywienie, lub brodząc w przybrzeżnej wodzie, poluje w niezamarzniętej dotąd rzece na śnięte rybki, czy jakieś resztki ze ścieków. A gdy i tego zabraknie — włóczy się wówczas po uliczkach i zaułkach przedmieść, wyszukując razem z wróblami niestrawionych ziaren w łajnie końskiem. Posępna, z nastroszonem pierzem, śmiała aż do bezczelności, trzyma się wszelkich osiedli ludzkich od osad i wsi poczynając, aż do największych miast. Całą jej obecnie troską jest przetrwanie jakoś zimy. Ale nie zawsze się jej to udaje. Czasem ostry, gwałtowny mróz zdziesiątkuje zgłodniałe wrony, czasem człowiek otruje szare przybłędy, albo porwie je znienacka drapieżny jastrząb. Jednak sporo ich jeszcze pozostanie.

Lecz zima przeminie. Jasne promienie słońca silniej przygrzeją, śniegi zaczną tajać, ukazując czarną, wilgotną ziemię. Gromady wron opuszczą miasto, rozbiją się na pary, odlecą na pola i do lasów, by tam wraz z nadchodzącą wiosną, jak cała budząca się z letargu natura, przeżyć okres niewysłowionego szczęścia i miłości.

Już w marcu pary wronie przystępują do budowy gniazd. W tym celu wybierają wyniosłe drzewa wśród lasu, jak też nadbrzeżne olchy, czy wierzby nad wodą pochylone, albo stare brzozy, lub sosny, sterczące samotnie wśród pól i niskich zagajników. Na końcu bocznej gałęzi, rzadziej na wierzchołku, uwite zostaje gniazdo. — Składa się ono z giętkich prętów brzozowych, suchych gałązek sosny i grubszych patyków, wewnątrz wysłane bywa sierścią zwierzęcą, piórami i łykiem drzewnem. W początkach kwietnia samica znosi 3 do 5 jaj seledynowo-niebieskich, ciemno-zielono i brunatno upstrzonych. Barwy jaj wronich są ogromnie zmienne, poprostu nie spotyka się dwóch okazów jednakowych. Nawet i wymiary często są bardzo rozmaite, chociaż te stosunkowo najmniej się wahają. Różnią się przedewszystkiem jaja wron starych i młodych (z zeszłorocznego lęgu). Wymiary pierwszych wynoszą 4,8 cm × 3 cm, podczas gdy drugich tylko 4,4 cm × 2,7 cm.

Gdy po dwudziestodniowem przeszło wylęganiu, z barwnych skorupek jaj wyjdą nagie, pokracznie brzydkie pisklęta o olbrzymich głowach i takichże dziobach — nastaje dla wron-rodziców okres intensywnej pracy. Nienasycone młode potworki ustawicznie domagają się pożywienia, pochłanianego w olbrzymich ilościach. Wtedy to rozpoczynają wrony swe łupieskie wyprawy, siejąc mord w stadkach kuropatw, bażantów i kaczek, napastując małe zajączki, plondrując gniazda ptactwa śpiewającego i nie wahając się nawet porywać z podwórza od kwoki kurczęta i kaczęta. A oprócz tego, chodząc za pługiem czy broną, zbierają starannie śliskie dżdżownice i tłuste, nieruchome pędraki chrabąszczy, oraz łapią myszy polne i nornice, jak również wybierają odsłonięte ziarna.

Charakterystyczny jest lot polującej wrony. Niziutko nad łanem kołyszącego się zboża, czy zielonej koniczyny, na rozpostartych szeroko skrzydłach leci wrona, przeglądając pilnie każde zagłębienie, każdą kępkę. Biada wówczas gniazdu kuropatwiemu, biada przytulonemu w bróździe zajączkowi! Kilka uderzeń potężnym dziobem unieruchomi go na wieki, a wkrótce potem uraczy się nim pięć obżartych wroniąt w gnieździe, na wysokiej sośnie. W okresie karmienia piskląt stają się wrony nieznośnemi szkodnicami, dającemi się porządnie we znaki każdemu hodowcy. Jest jednak coś, co pozwala myśliwemu wykryć i zniszczyć gniazdo, nie dopuszczając do wylęgnięcia się wroniąt, dzięki którym właściciel łowiska ponosi później duże szkody.

Skoro tylko jaja zostaną zniesione i rozpoczyna się ich wylęganie, wysiadująca wrona wydaje bardzo charakterystyczny głos. Jest to przeciągłe, żałośne, pojedyńcze krakanie, rzucane w przestrzeń co kilka minut. Krakanie to, powtarzane w równych odstępach czasu, w tonie znacznie wyższym od normalnego głosu, pozwala dotrzeć pod drzewo z siedzibą szarej rozbójniczki, a upewniwszy się stukaniem w pień, czy istotnie mamy do czynienia z gniazdem zamieszkałem — pozbyć się dokuczliwego rabusia.

Kiedy wronięta wyrosną i nauczą się latać, cała rodzina wyrusza w pole, gdzie rozpoczynają się właśnie żniwa. Rodzice w dalszym ciągu karmią młode, chociaż te dorównywują już wzrostem starym. Wrony pędzą żywot osiadły, przebywając stale w jednej okolicy. Na noc lecą do lasów, gdzie po długiem krążeniu w powietrzu, z głośnem krakaniem obsiadają wysokie drzewa i tu noc spędzają. Z nastaniem jesieni rodziny się rozbijają i każdy z jej członków pędzi żywot samodzielny.

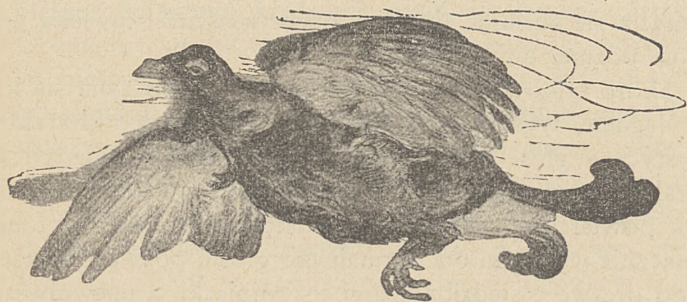
Gdy pola opustoszeją, a nadchodzące chłody strącą z drzew listowie, skuwając ziemię twardym pancerzem grudy, zaczynają wrony zbliżać się do ludzkich osiedli, nawiedzając wsie, miasteczka i miasta, gdzie łatwiej o schronienie przed dokuczliwem zimnem, a wyrzucane resztki z ludzkich stołów dostarczą przez zimę jedynego pożywienia. I znowu z ostrożnej i przebiegłej wrony wiejskiej — staje się każda z nich miejską żebraczką, grzebiącą na śmietniku, czy przy zlewach.

Wrona jest ptakiem mądrym: umie zdaleka odróżnić wieśniaka od myśliwego i choć pierwszemu śmiało w polu towarzyszy — drugiego starannie omija.

Przy budowie gniazda, gdy zauważy człowieka — nigdy nie leci w kierunku swej siedziby, a kołuje, chcąc zmylić ślad, lub siada na drzewie i dzierżąc patyk w dziobie stara się przeczekać, aż wróg odejdzie. Umie też rozróżniać wszelkie sidła i pułapki, daje się natomiast z łatwością truć przy pomocy rozrzucanych rybek.

W myśl obowiązującej ustawy łowieckiej, podlega wrona tępieniu w ciągu całego roku. Zarządzenie to mojem zdaniem nie jest słuszne. Ptak ten, poza okresem lęgowym, przynosi rolnictwu i leśnictwu duży pożytek, tępiąc szkodliwe owady i ich liszki, oraz myszy polne. — W łowiectwie też przynosi pewną korzyść, uprzątając padlinę i przez to stanowiąc straż sanitarną rewiru. Do-

datnią również pozycją jest przeprowadzenie selekcji w zwierzostanie. Zgadzą się ze mną chyba wszyscy myśliwi, że zdrowego, dorosłego zająca wrona nigdy nie upoluje. Stają się więc jej łupem tylko okazy schorowane, lub postrzelone, które i tak łowisku korzyści nie przynoszą. Całkowite zatem wytępienie wron jest dla hodowcy rzeczą niepożądaną. Można liczbę ich zredukować nawet dość znacznie, można ograniczyć do minimum przyrost naturalny, niszcząc na wiosnę gniazda, ale nie należy pozbywać się wron zupełnie, bo to jednak odbije się później na zwierzostanie ujemnie. I dlatego też radzę pp. hodowcom w tym wypadku nie zastosowywać się zbyt gorliwie do wskazań naszej ustawy łowieckiej.



IRENA Hr. RZEWUSKA

Niezwykły pościg

(prawdziwe zdarzenie)

Pan Benedykt szybko się odział i wyszedł na ganek. Przed chwilą obudził go Hnat, mówiąc mu, że o półtora wiorsty za wsią, przejeżdżający tamtędy chłop, zoczył wilka, żrącego na polu padlinę. Wdział tedy śpiesznie długie buty, półkożuszek i wziął w rękę harapnik, zakończony długim rzemieniem. (W roku 1863/64 na Ukrainie nie wolno było mieć broni palnej).

Zima w roku 1864 była ostra, śnieg obficie spadł i otulił swym białym puchem pola, mróz był silny, to też dziki zwierz, gnany zimnem i głodem, wychodził z legowiska, zbliżał się do sadyb ludzkich.

Na dworze świtało. Niebo szare, gładkie bez chmurki zaróżowiło się na wschodzie. W gęstym parku drzewa okryte szronem, jak z jakiej krainy dziwów, zdawały się marzyć sennie, czarodziejską baśń o zimie.

Cisza była.

Lekkie powietrze niosło każdy odgłos, krakanie wron, lub szmer spadającego śniegu z gałęzi. Z podwórza dolatywały stukot otwieranych stajennych drzwi, rozmowa stangretów, brzęk wiadra o studnię.

Dniało. Pan Benedykt spojrzał na niebo. „Dobra pogoda, sforsujemy zwierza", — pomyślał. — Będzie wilczur dla Kasi". Rzucił okiem ku oknom dworu. Okiennice były jeszcze zamknięte. Ujrzał w myśli jasne sploty włosów i szafiry ócz. Uśmiechnął się. W alei, wiodącej ze stajni, brzękały wędzidła, skrzypiał śnieg pod kopytami koni. Hnat i Hrehorko prowadzili trzy konie. Pan Benedykt wyprostował się, wysoki, barczysty, w ogorzałej twarzy świeciły jasne, pogodne oczy dziecka. Pogłaskał swego wierzchowca. — „Achmed"!... Na dźwięk pańskiego głosu odezwało się wesołe rżenie. Przedni to był koń — zacnego rodu i wysokiej krwi, ze sanguszkowskiego stada! Szedł lekko na swych sarnich nóżkach, kołysząc się trochę jak tanecznica, idąca do popisu przed tłumem zaciekawionych widzów. W wielkich oczach zdawał się drzemać jakiś wschodni, rozkoszny sen. Biały był jak mleko, ale gdy szedł z chartami na polowanie i na zagonie ujrzał szaraka, gdy mu się krew rozigrała, a z pod kopyt i z nozdrzy sypały się skry,, wtedy czarna skóra przebijała przez miękką sierść, żyły drobne występowały jak sieć i tylko biała fontanna ogona powiewała w słońcu.

Achmed... Pan Benedykt wskoczył na siodło. Koń dał szczupaka, nie z narowu, ale z radości i ochoty. Hrehorek i Hnat dosiedli swoich koni.

Ruszyli. Przejechali przez cichą zaledwie się budzącą do życia wieś. Jechali wiorstę wyciągniętym kłusem. Pan Benedykt wstrzymał konia.

Stanęli.

W koło nich — nieskończone pola... śnieg, śnieg bez końca. Nad nimi blado-niebieska, kryształowa kopuła nieba. Stali tak chwilę. Z za horyzontu, powoli leniwie wychyliło się słońce. Pierwszy promień, nieśmiały, zaróżowiony, zmienił śnieg w kobierce drogich kamieni, przeleciał przez puste pola, wzdłuż i wszerz, aż dopadł do ludzi i koni. Wtedy buchnął snop światła. Spłonęło niebo rumieńcem. Wstało słońce w złocie i w królewskiej purpurze krwi...

Ruszyli. Nie przejechali jednakże i pół wiorsty, kiedy ujrzeli obok drogi na śniegu ruchliwy, czarny punkt.

„Wilk" — szepnął Hrehorko.

Zwierzę, wpół leżąc, gryzło kości. Na widok ludzi wilk stanął i patrzył z podełba na tych, którzy przyszli przeszkodzić mu w tej uczcie. Podjechali bliżej. Pan Benedykt widział wyraźnie: puszystą, burą sierść, wydłużony pysk, skośne oczy i białe ostre kły. Achmed chrapał, strzygł uszami. Wilk popatrzył jeszcze, zawahał się chwilę i skoczył w bok. Mignęło tylko szare „polano".

„No, Achmed, hop!"

Koń przeskoczył rów. Puścił się cwałem. Pęd powietrza, jak ostrze noża, uderzył w twarz jeźdźca i zaparł mu oddech. Koń rwał naprzód, stuliwszy uszy. Rozhulała się, rozigrała szlachetna krew. Z pod kopyt zrywał się biały tuman śniegu i rozsypywał w miljardy brylantowych gwiazd. Wiatr gwizdał w uszach. Człowiek i koń, zdawali się być już tylko jedną istotą. U ramion trzepotały niewidzialne skrzydła. Lecieli jak wicher...

W tumanie śnieżnym, w złotej glorji wschodzącego słońca mknęli przez nieskończony step... Pan Benedykt czuł, że w piersiach mu wzbiera jakaś siła przeogromna i moc i radość cudowna życia. Zamajaczyła mu w oczach jasna postać i chabrowe oczy. Chciał wyciągnąć ramiona i wołać, krzyczeć — „Hej Kasiu, ty moja jedyna!...

Wilk nagle zawrócił, wbiegł na drogę. Konie parły za nim tuż... tuż... Nie spostrzegli, jak wpadli we wrota wsi. Na skraju wioski stała chata odosobniona. Drzwi były szeroko rozwarte. Wilk przeskoczył płot, za nim, prawie jednocześnie biały, spieniony koń. Pan Benedykt nie pamiętał, jak zeskoczył z konia i jak wbiegł do izby za zwierzem... Usłyszał tylko krzyk przerażenia baby, która

stała w sieni, gdakania uciekających kur i później trzask zamykających się drzwi za nim. Spróbował się oprzeć o nie, tłuc z całych sił, ale drzwi, choć skrzypnęły, jednak nie ustąpiły. Baba widocznie ze strachu, zatrzasnęła drzwi. Oślepieni blaskiem śniegu, oszołomieni szybkością biegu, w mroku izby, stali na przeciwko siebie, człowiek i zwierz...

Pan Benedykt nie widział wilka, tylko słyszał chrapliwe sapanie i kłapanie zębami. Trwało to może pół sekundy, może mniej. zdawało się jemu po chwili, że ciemności znikły, gdyż ujrzał w rogu izby, między piecem a ławą wielkie cielsko zwierzęcia i błyszczące fosforycznie ślepia. Zacisnął silnie zęby i w garści ścisnął harapnik. Człowiek i zwierzę skoczyli na siebie jednocześnie. Dwa ciała się skłębiły, zakotłowały i runęły na ziemię. Wilk pazurami darł kożuch. Potrącony stół zachybotał i przewrócił się z łoskotem. Kura, gdacząc podleciała do okna i tłukła dziobem w szkło. W zębach wilka harapnik się giął, ale żelazne dłonie kneblowały długim rzemieniem mu pysk. Pan Benedykt czuł, że wkrótce zbraknie mu sił i że dzika bestja go zwycięży. Nagle otworzyły się na rozcież drzwi. — „Pomoc“ przemknęło mu przez myśl.

* * *

Po chwili, wracali do domu. Słońce świeciło jasno. — Między końmi na długim rzemieniu, ze zjeżoną sierścią, z pyskiem związanym, biegł ogromny, wspaniały wilk. Na przedzie jechał pan Benedykt.

„Prędzej chłopcy“ — krzyknąŁ.

Śpieszył się, bo widział, że go tam powitają stęsknione, różane usta i świetliste oczy.



Zmiana w przewodnictwie Łowiectwa francuskiego

Dowiadujemy się, że Prezesem francuskiego St.-Hubert-Klubu został nie dawno wybrany, Pan Maxime Ducrocq, dotychczasowy jego wiceprezes, w miejsce zmarłego w dniu 16 czerwca b. r. Justyniana hr. Clary.

Nieświadomym wyjaśniamy, że St.-H. C. F. jest we Francji organizacją łowiecką o celach podobnych jak Polski Związek Łowiecki lub nasze M. T. Ł.

Otóż hr. Clary był długoletnim Prezesem tego potężnego Klubu i on to właśnie w pierwszych latach bieżącego stulecia zreformował go wszechstronnie i do takiego doprowadził znaczenia, że Klub ten wywiera dziś decydujący wpływ na stosunki łowieckie we Francji.

Przez śmierć hr. Clary straciło myślistwo francuskie postać czołową, prawdziwego orędownika i propagatora najważniejszych spraw łowieckich i łowiecko-sportowych we Francji.

Czynnym był hr. Clary mimo podeszłego wieku, aż do końca życia, gdyż jeszcze w dniu 1 czerwca b. r., wygłosił był obszerne sprawozdanie na dorocznem Walnem Zgromadzeniu S. H. C. F., a potem był jeszcze na Kongresie Olimpijskim we Wiedniu, skąd powróciwszy do Francji, już w dwa dni po powrocie ducha wyzionął.

Pociechą dla myślistwa francuskiego po tej dotkliwej stracie jest to tylko, że osoba Pana Maxime Ducrocq, który przewodniczy także Międzynarodowemu Związkowi Łowieckiemu od początku jego powstania, daje pełne gwarancje, że łowiectwo francuskie znajdzie w nim także nader energicznego i zapobiegliwego przodownika.

A. S.



Jak należy chronić surowe skórki zwierząt futerkowych przed zepsuciem

Przyszedł sezon polowania. — Wrażenia i piękno polowań stawia się na pierwszym planie; kwestje zaś wykorzystania i zużytkowania upolowanych okazów pozostawia na drugiem miejscu. W bardzo wielu wypadkach myśliwy nie stara się utrwalić swego sukcesu polowań, przez pozostawienie widomych śladów i znaków.

Mam na myśli kwestje ściągania i konserwowania skórek z ubitych okazów, które w wielu wypadkach są jedyną wartościową częścią z upolowanej zwierzyny, jak lisa, kuny i wydry, a pomimo tego, daje się im marnować. Na polowanie należy patrzeć nietylko z punktu widzenia dawanych przyjemności, ale i jego użyteczności. Pod tym względem popełnia się wiele błędów, które należy poruszyć.

Najważniejszym bodaj grzechem ze strony myśliwego, jest bicie zwierzyny w nieodpowiednim czasie, jakkolwiek w ustawowo oznaczonym okresie, to jednak niewłaściwym z punktu widzenia użyteczności. Wziąć naprzykład polowanie na lisa, które rozpoczyna się z początkiem listopada, a więc wówczas, kiedy nie zdołał jeszcze przyjąć na siebie zimowego puszystego włosa.

Szkoła garbarsko-białoskórnicza, Lwów, ul. Na Błonie l. 3, która przyjmuje do wyprawy i farbowania rozmaite skórki futrzane, a także i na irchę, spotyka się w listopadzie z surowcem o bardzo małej wartości. Lis zabity w okresie wczesnojesiennym nie posiada dobrego uwłosienia, to też wartość jego w porównaniu do takiegoż lisa, zabitego w zimie (grudzień—luty) jest 3 do 10 razy mniejsza. Lisy z polowań jesiennych, noszą w niektórych okolicach w handlu nazwę „szurty“. Nie trudno się domyśleć, że określenie to pochodzi od niemieckiego wyrazu die Scharte, co znaczy wada. Wskutek tego, że u tych lisów cebulki włosowe nie są jeszcze należycie wzmocnione, włos trzyma się słabo i łatwo wypada. Lisy, o których mowa, po wyprawie przedstawiają się jak sito. Włosy przebijają na drugą stronę i łatwo wypadają przy pociągnięciu. Z podanych powodów skóra lisa, zabitego w czasie pierwszych polowań listopadowych, przedstawia bardzo małą wartość. Dotyczy to i wszystkiej innej zwierzyny dzikiej, której skórki używa się na futra. Należy przeto dążyć do tego, aby polowanie urządzać w czasie pełnej zimy, t. j. wówczas, kiedy włos jest gęsty i puszysty.

Następnym błędem jest zdejmowanie skóry w kilka dni po zabiciu. Jakkolwiek okres polowań przypada na czas zimowy, to jednak często dnie są dość ciepłe o temperaturze dochodzącej do 10° C. Wystarczy, aby zwierzyna poleżała 4 do 5 dni na dworze lub w szopie, ażeby się proces psucia zaczął. Niejednokrotnie rzuca się na stos jedną sztukę na drugą i w tym stanie pozostają one z zaskrzepłą krwią kilka dni. Znanem jest zjawisko grzania się i zaparzania mokrych ciał organicznych. Zjawisko to ma miejsce i w omawianym wypadku, gdzie z czasem następuje proces gnicia, dający się poznać po niemiłej woni. Czasem ubitą zwierzynę daje się do opalanych ubikacyj, a wówczas, o ile leży na stosie, proces gnicia odbywa się jeszcze szybciej. Białko, z którego składa się skóra, ulega wskutek działania drobnoustrojów rozkładowi; wydziela się przytem amoniak, który działa na cebulki włosowe i powoduje wypadanie włosa. Miejsca najbardziej zaatakowane świecą po wyprawieniu skóry goliznami. Ażeby uniknąć tego nieprzyjemnego zjawiska i nie narażać się na zawód i rozczarowanie, każdy myśliwy powinien uważać sobie za obowiązek w imię własnego dobra, zdjąć skórę o ile możliwe natychmiast po zabiciu zwierzyny, a najdalej dnia następnego. Nierozsądnem też jest zarzucenie zdjętej ściągniętej skóry w kąt na ziemię. Właścicielowi zdaje się, że albo zaraz odda ją do wyprawy, albo przyjdzie handlarz, któremu ją sprzeda. Wyczekiwanie na jedno lub drugie przeciąga się całemi dniami, a skóra w międzyczasie zaczyna się psuć, wydając coraz bardziej nieprzyjemną woń. Po pewnym czasie dostaje się ona do warsztatu białoskórniczego i tam dopiero skutki niedbalstwa występują na jaw, przyczem przysłowie: „Nie opłaci się skóra za wyprawę", ma zupełne zastosowanie.

Niejednokrotnie skóry zdjęte w postaci worka, t. zn. nie rozprute na brzuchu, wypycha się sianem lub słomą, dając włos nazewnątrz. Z braku dostępu powietrza, skóra schnie powoli i dlatego zaczyna się proces gnicia. Sposób wypychania sianem lub słomą, jest u nas w kraju często spotykanym, na szczęście przy tańszych skórkach zajęczych, chociaż tu i ówdzie zobaczyć można i lisy w ten sposób suszone. Zwyczaj ten powinien raz na zawsze zaginąć, a jego miejsce zająć bardzo dobry sposób suszenia na widełkach. Skóry po zdjęciu należy wywrócić mięsem nazewnątrz i naciągnąć na dwuramienne widełki drewniane w ten sposób, aby wierzchołek widełek wystawał z pyska. Ażeby skórę zabezpieczyć przed ślizganiem się i ściąganiem, trzeba, aby przód opierał się dobrze o szerokie widełki. Następnie wyciąga się skórę w dół i przywiązuje tylne łapy sznurkiem do ramion widełek. Tak naciągniętą skórę należy posolić solą kuchenną, a szczególnie dobrze — miejsca mało przewiewne i mięsne, t. zn. pysk, uszy, łapy i ogon. Potem zawiesza się w przewiewnem suchem miejscu i o ile możności szybko suszy. O ile przy zdejmowaniu przecina się skórę na brzuchu, wówczas należy ją nabić w stanie wyciągniętym na deskę stroną mięsną nazewnątrz i suszyć jak powyżej, w normalnej temperaturze w przewiewnem miejscu.

(Dok. nast.).



Korespondencje

Dnia 31 października b. r. polowaliśmy w Spasie, pow. Kamionecki i pp. Kaz. Bartmańskich w 14 strzelb, w tem dwie polujące Diany, przy idealnej wprost pogodzie. Na rozkładzie 6 lisów, 1 cietrzew, 2 kuropatwy i 61 zajęcy. Siódmy lis i parę słonek, mogłyby być na rozkładzie gdyby... Polowanie organizował i prowadził wzorowo pod każdym względem Inż. Roman Bartmański, który też wystrzelał królestwo, mając 1 lisa, kurę i 10 zajęcy, drugi p. Inż. B. Zienkowicz 9 zajęcy i lisa. — Wzięto 3 polne mioty i 9 leśnych. K. G.

Zachęcony apelem do myśliwych członków M. T. Ł., o składanie relacyj z tegorocznego rykowiska, śpieszę dorzucić do rubryki „Z Karpat" parę uwag i własnych spostrzeżeń.

Na wstępie muszę wyrazić zdziwienie, że od lat na darmo szukam na łamach „Łowca" wzmianki, chociażby najdrobniejszej o łowiskach i polowaniach w powiecie turczańskim.

Nie brak w naszych stronach pięknych kniei dziczych, od lat coraz to silniej rozbrzmiewa wczesną jesienią pod połoninami ryk jelenia, nie jest też rzadkością dobry rogacz — niestety brak o tem wszelkich wiadomości i dla ogółu myśliwych ta część Karpat jest zupełnie zapoznaną.

Byłoby rzeczą delegata Mał. Tow. Łow. na powiat turczański, zająć się swoim okręgiem, przysyłać Redakcji sprawozdania z polowań, jak również wglądnąć bliżej w gospodarkę łowiecką, która niestety dużo pozostawia do życzenia.



Dziś ograniczam się tylko, do podzielenia się z Szanowną Redakcją wiadomością, że od lat spędzam okres rykowiska na własnym terenie w Beniowie i Bukowcu i zdążyłem zaobserwować, że stan jeleni z roku na rok, jest coraz lepszy.

Niestety jeleń nie trzyma się tu wcale, gdyż z wczesną zimą przechodzi na południowe czeskie stoki, by z początkiem wiosny, znowu do nas zawitać. Fakt ten uniemożliwia mi roztoczyć nad jeleniem stałą i skuteczną opiekę.

W tym roku rykowisko było również dobre, jeleni było również dobre, jeleni było dość dużo, odzywały się jednak słabo.

Największe nasilenie było w dniu 30 września, w którym to dniu, równocześnie ryczało 13 jeleni.

Ubiłem w tym roku jednego byka 12-taka o dobrze wykształconej koronie, wagi 8 kg.

Fotografję załączam do użytku Redakcji.

Inż. Henryk Rubinstein.

Przed kilku dniami przechodząc obok handlu korzennego w Samborze, właściciel którego zajmuje się również w sezonie myśliwskim sprzedażą zwierzyny, zauważyłem na drzwiach u wejścia wiszącą sarnę. Wstąpiłem wtedy do sklepu i poprosiłem właściciela o wyjaśnienie skąd tą nieszczęsną reprezentantkę sarniego rodu nabył? Tenże oświadczył mi, że sarnę kupił na wagę od leśniczego p. Lorentza z dóbr Sąsiadowice-Głęboka, własność p. Okęckiej, albowiem majątek ten otrzymał zezwolenie na odstrzał sarn, ze Starostwa w Samborze. W Starostwie stwierdziłem, że rzeczywiście pani Okęcka właścicielka lasów obszaru około 400 ha, otrzymała z Urzędu Wojewódzkiego we Lwowie zezwolenie na odstrzał do końca grudnia 1933 r., 15 sarn. Zezwolenie to zostało wydane po uprzedniem zasięgnięciu opinji Del. M. T. Ł. p. Wacława Popiela z Humieńca. Ponieważ osoba p. Popiela znanego

powszechnie myśliwego, bardzo zapobiegliwego i troskliwego opiekuna swych własnych terenów łowieckich, dawała gwarancję, że opinję o konieczności odstrzału sarn wydano po dokładnem rozpatrzeniu sprawy, uważałem, że wszystko jest w porządku, a sprzedaż sarn legalna.

Ale dnia 27 października b. r., idąc znowu obok wyż wspomnianego handlu, zauważyłem wiszące 2 sarenki całkiem małe, ważące razem 24 kg. Po zbadaniu uzębienia stwierdziłem, że jest ono zupełnie mleczne, a więc sarny mogą liczyć nieco więcej jak pół roku. Fakt ten oburzył nie tylko mnie, ale i licznych członków tut. Tow. Myśliwskiego i dlatego postanowiłem sprawę tę poruszyć na łamach „Łowca".

Rozumiem bowiem, że odstrzał starych jałowych sarn jest nieraz wskazany i konieczny ze względu gospodarki łowieckiej, lecz nie mogę pojąć, jak można wybijać takie małe kilkumiesięczne sarenki? Jeżeli już ten pan leśniczy strzela lub każe strzelać służbie leśnej wszystko co pod lufę przychodzi, byleby tylko wypełnić kontyngent 15 sztuk, to ze względów dydaktycznych powinno być zabronionem wywieszanie takich maleńkich saren na widok publiczny, albowiem jest to bardzo złym przykładem dla nieuświadomionych „strzelaczy" na mięso, którzy wysnują z tego całkiem proste wnioski, że takie sarenki można strzelać bezkarnie.

Mam nadzieję, że kompetentne czynniki wezmą pod rozwagę moją relację i na przyszłość zarządzą, by przy wydawaniu zezwoleń na odstrzał sarn wyraźnie było zaznaczone, że odstrzał dotyczy tylko starych jałowych siut a nie młodych, niewyrośniętych sarenek.

Sambor dnia 2 listopada 1933.

Bolesław Strzelecki, Delegat M. T. Ł.

Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzeń Wydziału Oddziału Małop. Tow. Łow. w Krakowie

Na posiedzeniu Wydziału z 16 czerwca, przewodniczący wiceprezes dr. Adam Lardemer, zdał relację z udziału swego w obradach Zarządu Pol. Związku Stow. Łow. w Warszawie nad ostateczną redakcją projektu nowelizacji prawa łowieckiego i statutu przyszłego Polskiego Związku Łowieckiego. — Zarząd Związku uchwalił przedłożyć oba projekty do aprobaty Wal. Zgromadzeniu Związku w lipcu b. r.

Na posiedzeniu Wydziału z 30 października pod przewodnictwem prezesa Adama hr. Starzeńskiego przeprowadzono obrady nad podjęciem interwencji w jednym przypadku przeciwko rabunkowej gospodarce łowieckiej, nad przestrzeganiem legalnego handlu zwierzyną i jej czasów ochronnych, nad popieraniem sprawy ewent. odczytów fachowych w martwym sezonie łowieckim, oraz przyjęto do wiadomości wniesiony przez Oddział memorjał do Województwa i Pol. Związku w sprawie podwyższonych od roku 1933 przez Magistrat krakowski opłat za karty łowieckie.

Na posiedzeniu z 17 listopada, pod temsamem przewodnictwem omówiono bliżej sprawy wydawania fachowych opinij łowieckich na żądanie Władz.

Przypominamy członkom opłatę bieżących i zaległych wkładek dołączanemi do „Łowca" czekami P. K. O. na konto Oddziału Nr. 405.265.

Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 31 października 1933 r.

Obradom przewodniczył p. W. Szperling, obecni byli pp.: gen. dyw. K. Fabrycy, J. Skrzypek, Wł. Słonczyński, inż. K. Tołłoczko; sekretarzował J. Bokiewicz.

Porządek dzienny był następujący: Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 26 października r. b. Reasumpcja powziętych uchwał. Sprawy bieżące. Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 26 października r. b., zatwierdzono bez zmian.

Wydział Wykonawczy uchwalił wydawać „Łowca Polskiego" w objętości 20 stron druku, polecając redakcji zamieszczenie wiadomości o tem na wstępie najbliższego numeru.

Wydział Wykonawczy zatwierdził kosztorys wydania „Kalendarza myśliwskiego" na rok 1934. Postanowiono jednocześnie, że w „Kalendarzu tym zamieszczone ma być prawo łowieckie, a nadto, w kalendarjum, winny być zaznaczone święta prawosławne.

Z końcem roku bieżącego upływa termin ważności legitymacyj delegatów powiatowych Związku. Wydział Wykonawczy polecił sekretarjatowi przygotowanie nowych legitymacyj.

Wydział Wykonawczy przeznaczył na wystawę łowiecką, urządzaną przez Pomorskie Towarzystwo Łowieckie, w Toruniu, w dniach od 5 do 12 listopada r. b., nagrody w postaci 12 medali (4 złote, 4 srebrne i 4 bronzowe).

W powiecie nowogródzkim organizuje się Powiatowa rada łowiecka i w związku z tem, delegat Związku p. J. Stark zwrócił się do Wydziału Wykonawczego o instrukcje. Postanowiono zakomunikować p. Starkowi, że Wydział Wykonawczy opracowywa obecnie nowe zasady organizacyjne i dlatego narazie żadnych konkretnych instrukcyj udzielić mu nie może.

Zaległości Stowarzyszeń Związkowych w opłacie składki członkowskiej sięgają w chwili obecnej sumy zł. 6.584 gr. 50.

Wydział Wykonawczy uchwalił przedstawić Zarządowi Związku, w myśl § 14 statutu, 27 Stowarzyszeń, zalegających w opłacie składki na rzecz Związku za okres roczny, z wnioskiem o wykreślenie ze Związku.

Nadto postanowiono przedstawić Zarządowi Związku wniosek o wykreślenie z listy Stowarzyszeń Związkowych Mińsko-Mazowieckiego Towarzystwa Łowieckiego z powodu likwidacji.

Projekt nowego statutu Związku, opracowany przez p. Dylewskiego, przedstawiony zostanie p. gen. Fabrycemu po przestudjowaniu przez pp. Garczyńskiego i Dylewskiego.

P. gen. Fabrycy wysunął konieczność zorganizowania w najbliższym czasie oddziału Związku w Warszawie.

Postanowiono organizację tego oddziału powierzyć p. Kiltynowiczowi.

Odznaczenie członków Wydz. Wyk. P.Z.S.Ł.

W dniu 5 listopada r. b. podczas uroczystości św. Huberta, za zasługi na polu łowiectwa, dekorowany został przez Pana Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych, Nakoniecznikow-Klukowskiego, złotym Krzyżem Zasługi p. inż. Herman Knothe, konsultant łowiecki przy Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych.

W „Monitorze" z dnia 10 b. m. ogłoszone zostały, między innemi, nadane przez władze naczelne państwa odznaczenia zasługi na polu łowiectwa. Przewodniczący Wydziału Wykonawczego P. Z. S. Ł., p. Wacław Szperling, odznaczony został Kawalerskim Krzyżem „Polonia Restituta", skarbnik P. Z. S. Ł., p. Józef Skrzypek, srebrnym Krzyżem Zasługi.

Małop. Tow. Łow. składa odznaczonym najserdeczniejsze gratulacje.

Ś. † P.

LUDWIK ASŁANOWICZ

jeden z pierwszych członków i długoletni delegat M. T. Ł. z powiatu Kamionka Strumiłowa, zmarł 26 listopada 1933 r.

Cześć pamięci wiernego Towarzysza i pokój Jego duszy.

†

W chwili nadania numeru pod prasę, dochodzi nas wiadomość o śmierci

SEWERYNA KROGULSKIEGO

Członka Honorowego Towarzystwa i wielce zasłużonego na niwie łowieckiej działacza.

Z powodu braku miejsca i czasu, ograniczamy się tymczasem do podania tej żałobnej wiadomości.

M. T. Ł.

Z Wielkopolskiego Związku Myśliwych

Dzień po wręczeniu przez p. Generała Sosnkowskiego, Prezesa Pol. Zw. Stow. Łow., Panu Prezydentowi Rzplitej Ignacemu Mościckiemu w Spale, na święcie św. Huberta, najwyższej odznaki łowieckiej „Złomu" — obchodził nasz Związek podobną uroczystość. — Mianowicie Prezes Wielkopolskiego Zw. Myśliwych p. ppułk. rez. K. Chłapowski, wręczył w tym dniu Panu Prezydentowi Poznańsk. Ziemstwa Kredyt. Józefowi Żychlińskiemu, w imieniu Prezesa, p. Generała Sosnkowskiego „Złom".

Na śniadaniu, wydanem przez p. Prezydenta Żychlińskiego w jego salonach, zebrało się poza najbliższą Jego rodziną — Małżonką i Córką — małe grono znanych myśliwych Wielkopolski w osobach: pp. Generł. Raszewskich, p. Wiceprezesa Ziemstwa Kredyt. Gen. Radcy Kazimierza Żychlińskiego z Twardowa, Gen. Radcy Ziemstwa p. Dr. Zdzisława Skarżyńskiego z Tarzec, p. Senatora Prof. Ohanowicza z Poznania oraz Wydziału wykonawczego Wlkp. Zw. Myśliwych w osobach pp.: Prezesa K. Chłapowskiego, H. Górskiego i Wł. Bronikowskiego.

Wręczając podczas śniadania odznakę „Złomu", wyraził p. Prezes Chłapowski w imieniu naszego Związku swą radość, że danem mu było wręczyć tę najwyższą odznakę łowiecką tak czcigodnej osobie, jak Panu Prezydentowi Żychlińskiemu. Piękne łowisko Pana Prezydenta Żychlińskiego — Gorazdowo — zawsze cieszyło się opieką jego właściciela, a dzisiaj pielęgnowane jest przez jego czcigodną Małżonkę i uroczą Córkę. Dalej wyraził p. Prezes Chłapowski swoje serdeczne podziękowanie Panu Prezydentowi Żychlińskiemu za udzieloną przez niego, mianowicie w ostatnich dwóch latach, pomoc finansową Związkowi naszemu, która w wielkiej mierze pozwala mu przebyć obecny czas krytyczny.

Miła i podniosła ta uroczystość pozostanie w trwałej pamięci wszystkich uczestników. Ze swej strony zaś życzymy Panu Prezydentowi Żychlińskiemu, ażeby jeszcze przez wiele lat danem Mu było roztaczać swą opiekę nad łowiectwem wielkopolskiem.

SPROSTOWANIE.

W korespondencji „Statystyka Łowiecka" umieszczonej w Nrze 22 „Łowca" z 15/XI 1933, na stronie 261, szpalta lewa, w wierszu 9 z dołu, ma być: „tarnobrzeski" a nie „tarnopolski" — jak mylnie wydrukowano.

KALENDARZYK MYŚLIWSKI

W grudniu polować wolno na: dziki, zające (szaraki i bielaki) króliki, wilki, lisy, kuny leśne (tumaki), kuny domowe (kamionki) tchórze, gronostaje, łasice, wydry, norki, wiewiórki, cietrzewie koguty, jarząbki, pardwy, bażanty-koguty, drozdy, kwiczoły, paszkoty, ptactwo wodne i błotne, krukowate i drapieżne a od 16 grudnia na niedźwiedzie i rysie.

TREŚĆ NUMERU 23:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł. 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty
Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18-59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego

Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4-32